OPIEKUN DOMOWY

Warszawa dnia 24 Kwietnia / 6 Maja 1868 roku.

Nr 18. Cena w Warszawie 20 kop. miesięcznie.—Cena na prowincji w opaskach 75 kop. w kopertach Rs. 1. kwartalnie. Redakcja i Ekspedycja Główna przy rogu ulicy Leszno i Solnéj pod Nr. 715. Rok IV.

CZARODZIEJSKA DOLINA.

(*Ciąg dalszy*,—patrz Numer 17-ty).

Skutki kary istotnie były zadziwiające: psy cofnęły się skowycząc, jakby je kto gorącą wodą oblał; Boleś nagle się zatrzymał, a potem cofnął się i począł uciekać z całych sił, zakrywszy nos oburącz i krzycząc w niebogłosy.

Zwierzęciem co go tak niefortunnie przywitało, był *śmierdziel* z rodzaju *mephitis chinga*. Wytrysnąwszy z siebie śmierdzący płyn, pozostał chwil kilka ku nam odwrócony, rzekłbyś urągając się z nieprzyjemności ojaką wrogom swym sprawił, poczem wskoczył w zarośla i znikł. Przygoda najbardziej ucieszyła Witoldka który śmiał się do rozpuku utrzymując, że Boleś za to otrzymał zasłużoną karę, iż upuścił mu kociołek na nogi. Lubo i nas scena ta bawiła, należało jednak myśleć o jak najrychlejszem opuszczeniu tego miejsca, aby uniknąć okropnego smrodu, który dusił nas prawie; ale i oddalenie się z tego miejsca nie na wiele się nam przydało, psy bowiem tak były przejęte tą wonią, żeśmy musieli odpędzać je od siebie rzucaniem kamieni. Gdyśmy wreszcie odetchnęli czystszem powietrzem, chłopcy wypytywali mię o szczegóły dotyczące tego zwierzęcia.



Zwierzęciem był śmierdziel (str. 137—szp. 1)

— Nie opisuję wam—odrzekłem, jego powierzchowności, boście to sami własnemi oczyma widzieli, więcie też jakiego rodzaju oręża użyczyła mu Przyroda. Rodzaj życia tego zwierzątka prawie nie znany naturalistom. Wiadomo tylko że należy do zwierząt drapieżnych, t. j. żywi się innemi zwierzętami, poluje na króliki, ptaki, myszy, żaby i jaszczurki. Niezmiernie lubi jaja, po które często zakrada się jak nasz tchórz do kurników. Zażartemi jego nieprzyjaciołmi są: wilk, puchacz i mrówkojad. Biega nie bardzo prędko, a całe jego ocalenie zależy w ucieczce. Jedyną zaś jego obroną jest ów płyn śmierdzący, którym tryska na swoich nieprzyjaciół; wydziela się on z pęcherzyków znajdujących się pod ogonem. We dnie nie można dostrzedz tego płynu w chwili wytrysku, ale w nocy jaśnieje on światłem fosforycznem; rzucić zaś go może na odległość pięciu stóp. Płyn ten wywołuje nader silne katary, a jak powiadają, — dostawszy się wewnątrz oka może sprawić ślepotę. — Woń jego tak jest odrażająca, że niepodobna wyprowadzić jej z odzie-

ży jeśli się nią przejmie; ani mycie, ani żadne środki nic nie pomogą. Miejsce, w którém śmierdziel został zabity, przez kilka miesięcy będzie wyziewać nieznośną woń chociażby je nawet śniegiem przykryto. Śmierdziel wszakże wówczas tylko płynem tym tryska gdy jest ścigany, zabity z nienacka i odrazu, nie sprawia takich skutków; a nawet Indjanie i strzelcy amerykańscy chętnie go jedzą, utrzymując, że w smaku jest podobny do pieczonej wieprzowiny.

Widok źródła słonego był niezmiernie charakterystyczny i ciekawy. U stóp urwistej skały znajdowało się mnóstwo przedmiotów formy walcowatej, podobnych do półkuli lub czasz przewróconych. Były białe z materji podobnej do kwarcu; jedne nie większe od misy zwyczajnej, inne zaś tak prawie wielkie jak piec piekarski; u góry znajdował się otwór okrągły, z którego wydobywała się niby woda wrząca, rzekłbyś z garnków umieszczonych nad olbrzymiem ogniskiem. Było ich około dwudziestu wyrzucających wodę, ale wiele znajdowało się takich, co nie miały otworu i nie wysączały solnego rozstworu, z którego się same utworzyły. Jakkolwiek woda wtem źródle była słona, nie przeszkadzało to jednak roślinności najbujniej w tém miejscu się rozwinąć.

Przyjrzawszy się tej dziwnej fabryce Przyrody, przystąpiliśmy do wyrabiania soli. Witold i Boleś naznosili gałęzi suchych, Paweł wbijał żerdzie do zawieszenia kotła, my z żoną wlewaliśmy do tego ostatniego wodę słoną. Wreszcie buchnął ogień, a nam nic innego nie pozostawało, jak czekać aż się woda zagotuje i nastąpi waporacja.

Wybraliśmy miejsce gdzie murawa była gęstą i miękką i usiedliśmy, oczekując rezultatu tej operacji. Wyznać muszę, że nie małego niepokoju doznawaliśmy obawiając się, abyśmy zamiast soli, nie otrzymali siarczanu magnezji lub siarczanu sody.

— Co to jest siarczan magnezji, ojcze?— zapytał Witold.

— Znasz go jako sól angielską—odparła matka z uśmiechem.

— Pfe!—zawołał z grymasem, sądzę żeśmy coś lepszego tu znaleźli; a cóż to jest siarczan sody?

— To samo co sól Glaubera.

— Jeszcze lepsze od tamtej! zawołał Boleś spluwając; już z dwojga złego wolałbym aby to była saletra i siarka moglibyśmy przynajmniej proch robić.

Po chwilowem milczeniu, Witold zawsze ciekawy i żądny rozszerzyć zakres swych wiadomości, zapytał:

— Ojcze, dla czego woda w tem źródle słona?

— Prawdopodobnie, odpowiedziałem, woda ta nasycila się solą przechodząc ogromne tej ostatniej pokłady.

— Jakto? alboż sól może się znajdować czasem całemi pokładami?

— Tak, w niektórych krajach. Słyszałeś przecie nieraz o naszej Wieliczce, której kopalnie soli są najlepsze i najobfitsze na świecie. Oprócz tego sól kopalna znajduje się w Anglij, Indjach wschodnich, Rossji, Węgrzech i w Hiszpanji. Wielką też jej obfitość znaleziono w pustyni, na której obecnie się znajdujemy.

— A czy to prawda ojcze, że sól wyrabiają z wody morskiej?

— O, i w wielkiej nawet ilości.

— A to jakim sposobem?

— Jest na to trojaki sposób: najprzód, w krajach gorących wpuszczają wodę morską w kotliny nie bardzo głębokie i dają jej wyparować na słońcu; tak postępują w Hiszpanji, Portugalji, Francji i innych krajach leżących nad brzegiem Śródziemnego morza, również jak w Indjach, Chinach, Sjamie i t. d. Drugi sposób, podobny zupełnie do pierwszego z tą tylko różnicą, że tu samo morze podczas przypływu pozostawia na płaszczyznach nadmorskich trochę wody, która po skończonym odpływie, parując na słońcu, pozostawia osad solny; sól ta lepszą jest nawet od otrzymywanej poprzednim sposobem, wszakże oba te gatunki ustępują w dobroci soli kopalnej. Sól taką otrzymują na wyspach archipelagu greckiego, oraz wyspach Australijskich, Zielonego przylądka, Antyllach i t. d. Trzeci sposób zasadza się na gotowaniu wody morskiej; ale sól w ten sposób otrzymywana, jest najpośledniejsza i rzadko gdzie się używa. W ogóle powszechne jest mniemanie naturalistów, że sól morska osadzając się, dała początek soli kopalnej.

— W jak wielkiej ilości znajduje się sól otrzymywana z wody morskiej? — zapytał Witoldek.

— Wstosunku trzech i pół odsetków, t. j. że wyparowawszy sto kwart wody, otrzymamy trzy i pół kwarty soli. Ale są jeziora i źródła słone, posiadające sól w daleko większym stosunku; mam nawet nadzieję, że i to źródło dostarczy nam więcéj soli niż woda morska. Ale zobaczmy jak tam idzie nasza fabrykacja, zupełnieśmy prawie o niej zapomnieli.

Zbliżyliśmy się do kotła i ostróżnie zdjęliśmy pokrywę. Biała piana, podobna do śniegu na pół stopionego, pływała po wierzchu. Pokosztowaliśmy odrobinę—nie omyliłem się: była to istotna sól, najczystszy chlorek sodu!

Radość nasza granic nie miała, kosztowaliśmy po kolei sól, jakby największy przysmak. Ponieważ wleliśmy około dwudziestu czterech butelek wody do kotła, a po wyparowaniu zupełnem otrzymaliśmy około ośmiu kwart soli, przeto źródło nasze daleko więcej w sól obfitowało niż woda morska.

Wypróżniwszy kocioł, znowu nalelismy doń wody źródlanej i podłożyliśmy ogień. Tym razem jednak ognisko podwójny miało dla nas cel: Anna bowiem zgotowała przy niem kilka kawałków mięsa, które mieliśmy przyjemność jeść z solą. Nie zapomnieliśmy też podziękować Bogu, który nas zaopatrzył tak ważnym artykułem żywności.

Na noc wróciliśmy do domu z dobrym zapasem soli, który przynajmniej powinien był wystarczyć dla nas na miesiąc, a po upływie tego czasu zamierzaliśmy nową zająć się fabrykacją soli, a której byliśmy pewni, że nie zabraknie nam na tej dolinie.

Po wieczerzy Boleś przypomniał matce obietnicę wyjawienia odkrycia, jakie w lesie zrobiła.

— Ciekawym – rzekł, co może się równać z tym workiem wybornej soli, którą ja odkryłem.

— Wszakżem nie przyrzekała koniecznie powiedzieć ci o tem dziś wieczór; zdaje się żem mówiła, iż to w tenczas nastąpi, gdy będziecie w złym humorze, a przecież teraz tak jesteśmy weseli...

— Nie, moja mamo, zawołał Boleś, najprzód ma-

ma przyrzekła dziś wieczorem powiedzieć;—a powtóre — ja jestem nie w najlepszym humorze, od chwili... jak!...

— Odtąd gdyś rzucił mi na nogi kocieł pędząc za śmierdzielem, hm?—zapytał śmiejąc się figlarnie Witoldek.

Matka widząc, że te słowa istotnie zasępiły jej ulubieńca Bolesia—rzekła:

— Niech i tak będzie, powiem wam o mojem odkryciu. Otóż dziś rano gdyśmy przechodzili przez las, dostrzegłam z daleka po za innemi drzewami, koronę drzewa o ile pięknego, o tyle użytecznego,

— To pewnie drzewo kokosowe! zauważał Boleś.

— Nie.

— Więc chlebowe?

— I to nie.

— Może pomarańcowe?

— Nie Bolesiu—odparła matka, wiesz przecie że jesteśmy w szerokości za nadto na północ posuniętej, aby mogły się znajdować drzewa chlebowe, kokosowe lub pomarańczowe.

— A!—zawołał Boleś, inne drzewa wcale mię nie obchodzą.

— Powoli, powoli, mój drogi. Drzewo o którem mówię jest właściwe strefie umiarkowanej, a nawet w północnych krajach lepiej się udaje. Czyliście nie uważali wielkich rozłożystych drzew, o liściach prawie purpurowych?

— Tak, mamo, odrzekł Witold, znam jedno miejsce w dolinie gdzie ich jest dużo: u jednych liście są prawie purpurowe, u innych zaś żółte.

— Kolor ten przybierają owe liście tylko w jesieni, na wiosnę zaś są one lśniąco zielone z wierzchu, a białe ze spodu;—otóż drzewem tem jest klon cukrowy.

— Więc jakiż z niego użytek?—zapytał Boleś, nie słyszałem bowiem aby były owoce klonowe.

— Bo też nie o owocach mam ci mówić ale o soku, który z tego drzewa wypływa. Wszakżeście pewno słyszeli o cukrze klonowym, który wcale nie ustępuje cukrowi z buraków.

Jakkolwiek wszyscy to odkrycie z zadowoleniem przyjęliśmy, radość jednak dzieci granic nie znała. Przez kilka minut nic innego nie było słychać, jak tylko wesołe okrzyki i kolejne powtarzanie wyrazów: cukier-klon, klon-cukier. Gdy wreszcie pierwsze wzruszenie minęło, Anna tłumaczyła dzieciom własności tego drzewa.

— Co do powierzchowności, klon cukrowy nie wiele się różni od pospolitego, który obficie w kraju naszym rośnie. Najważniejszą w nim bezwątpienia część stanowi ów sok, który w krajach gdzie nie rośnie trzcina cukrowa wybornego dostarcza cukru. Każde drzewo daje co rok trzy lub cztery kwarty tego produktu. Zbiór zaś ma miejsce dwa razy w roku—na wiosnę i w jesieni, a lubo w jesieni mniej go się otrzymuje niż na wiosnę, spodziewam się jednak że to co zbierzemy, wystarczy na zimę.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

MELANCHOLJA.

Gdzież róże, bzy,
 Gdzie woń, gdzie Maj?
 Gdzież ziemski raj,
 Gdzież szczęścia łzy?
Gdzież jesteś ty,
 Com kochał tak!
I ciebie brak!
 Wszystkoż to sny?

O! sny i sny
 Czarownych lat,
 Zwiędłych jak kwiat,
 Wyschłych jak łzy.
Choć wróci Maj,
 Zawonią bzy,
Nie wrócisz ty,
 I serca raj!

Ależ — i gdzie?
 Odszukam was,
 Gdzież znajdą nas...
 W myśli, czy w łzie?
O! znajdą — tam!
 Gdzie duchów kraj,
Gdzie wieczny Maj,
 Gdzie Bóg jest sam—
. . . .
Znajdziem się tam!

Adam Chodyński.

POMPEJA.

(Dokończenie, patrz Nr. 17-ty).

Główną i najwytworniejszą częścią domu był dół, pokoje piętrowe służyły za sypialnie, składy i izby niewolników, podziemne piwnice na nasz sposób rzadko tylko napotkać można. Rozmiary komnat są w ogólności małe, co się objaśnia tem, że nie były od siebie tak dokładnie jak nasze pooddzielane, lecz cały dom łączył się niejako w jedną niepodzielną całość.

Umeblowanie starożytnych było również bardziej ograniczone i prostsze jak nasze. Liczne stoły, stoliki, szafy, komody, któremi przepełniamy nasze mieszkania, po największej części nie były w użyciu; lecz za to wszystkie sprzęty domowe odznaczały się do najdrobniejszego szczegółu artystycznością formy i wykończenia. Stoły marmurowe, bronzowe siedzenia, kandelabry, są zawsze dziełami sztuki. Trudno nam dziś zrozumieć tę cywilizacją podnoszącą tak wysoko artystyczne poszanowanie formy i barwy: miasta pełne posągów i kolumnad były w całości jak i w każdym budynku produkcjami artystycznemi, a czem była strona zewnętrzna od tego i wewnętrzna nie odstępowała. Tutaj głównie malarstwu pozostawiano ozdabianie siedlisk ludzkich, nigdzie też ono nie znajduje tak wielkiego zastosowania jak w tych domach starożytnych. Ściany, kolumny, sufity, słowem wszystkie widzialne części domu, pokryte były dziełami pędzla najartystyczniejszego wykończenia, a podłogę kamienną układano w mozajkę, która niekiedy stanowi rzeczywiste arcydzieła, że tu wspomnimy tylko o przedstawiającej bitwę pod Issos (338 r. przed nar. Chr.), a mianowicie chwilę, w której Aleksander macedoński na czele swoich rycerzy zmusza króla perskiego Darjusza do ucieczki. Odkryto ją w 1831 r. a Göthe mówi o niej, że ani współcześni ani potomni, nie zdołają tego dzieła sztuki dostatecznie zbadać i wyjaśnić i że po najpilniejszych badaniach poprzestać będą musieli na prostym, czystym podziwie.

Nie można dość się napodziwiać piękności i wdzięku tych malowideł ściennych, które jednak za owych czasów tyle tylko znaczyły co dzisiejsze ta-

pety i których twórcy, zajmowali pośrednie między artystami i rzemieślnikami stanowisko. Posiadali oni zadziwiającą pewność i lekkość ręki; tylko proste linje malowali przy pomocy linjału, ornamentyka zawsze prawie wykonaną jest bez szablonów, od ręki. Toż samo powiedzieć można o obrazach, których w wielkiej liczbie nie brakuje żadnemu domówi. Wielka ich ilość powstała dopiero po trzęsieniu ziemi 64 r. a znawcy przypisują je pędzlowi niewięcej jak pięciu lub sześciu mistrzów; są one rozmaitego rodzaju, od małych postaci które ożywiają środek ściany, aż do obrazów większej niż naturalne wielkości, które całe ściany pokrywają. Staranność wykonania jest bardzo nierówna, malarze widać w pośpiechu i wykończeniu stosowali się do ceny. Przedmioty przedstawiane są także najrozmaitszego rodzaju. W krajobrazach okazuje się pewna niewolniczość sztuki, perspektywa rzadko jest bez zarzutu; zupełnie jednak inaczej jest z obrazami, przedstawiającemi sceny z życia ludzi lub bogów. Piękność ciała ludzkiego oddawaną jest z siłą i ogniem, jakim zaledwie sprostaćby zdołało nasze dzisiejsze malarstwo, —jest też to główny żywioł starożytnej sztuki. Wypadki z życia greckich bohaterów i bogów przedstawiane są bez najmniejszego względu na myśl religijną, którą pierwotnie wyrażać miały;—we wszystkiem idzie głównie o artystyczność kształtów. Malarze unikają przedmiotów, w których wielkie namiętności i tragiczne uczucia grają rolę i dają pierwszeństwo z widocznem zamiłowaniem rzeczom lekkim, zmysłowym, miękkim, lubieżnym. Miłosne sceny z greckiej mitologji dostarczały głównego materjału tak malarstwu rzymskiemu jak poezji, obie też te sztuki są wiernym obrazem owych czasów, dalekich od rozwiązywania wielkich politycznych zadań i spożywających w bezczynnym spokoju dziedzictwo walk i cierpień minionych pokoleń. Zmysłowość i piękność, spokój i używanie— stają się treścią życia. Stary świat spełnił już prawie swe zadanie, brak wyższych celów i dążeń, wyrodził zniewieściałość i przesyt. Przestano wierzyć w starych bogów i zaczęto w przesądach i ciemnych teologjach Wschodu poszukiwać uspokojenia ducha. Tym sposobem przygotowywał się grunt pod zasiew słowa dobrej nowiny. Pompeja zdaje się zaledwie dotkniętą duchem ogólnego rozkładu. Tutaj objawia się jeszcze cała piękność i harmonja dogorywającego poganizmu, użycie i szczęście przemawiają z jej murów. Człowiekowi jednakże nie jest przeznaczonem używać. Natura sama przypomina od czasu do czasu, nawet tym których najhojniej uposażyła, jak zmiennem jest szczęście ludzkie.

Wezuwiusz oddawna, od kilku stuleci był spokojny. Strabon geograf rzymski z czasów Tyberjusza, (który panował od 14 do 37 r. naszej ery) opisuje go już jako wulkan zagasły. Ówczesny kształt jego różny był od dzisiejszego. Ostrokrąg, który dzisiaj właściwie miano Wezuwjusza nosi, wznoszący się na jednym z boków dawniejszego lejkowatego szczytu, powstał dopiero w skutek wybuchu 79 roku, który zniszczył Pompeję i okoliczne miasta.

Posiadamy dokładny opis tego wybuchu przez naocznego świadka. Plinjusz młodszy (ur. 62 um. 115 roku) opisał go w dwóch listach do swego przyjaciela historyka Tacyta (ur. 54 um. 130 r.). Mając rok ośmnasty Plinjusz młodszy znajdował się w domu swego stryja także Plinjusza zwanego starszym, słynnego naturalisty, a podówczas admirała rzymskiej floty stojącej pod Misenum. Listy o wybuchu są wprawdzie w wiele lat potem pisane, wrażenia jednak jakich doznał piszący, pozostały w nich niezatarte i wierność jego opisu stwierdziły najzupełniej dzisiejsze poszukiwania i odkrycia.

Misenum leży w prostej odległości o cztery mile od Wezuwiusza. Wkrótce po południu 24 Sierpnia 79 r. spostrzeżono ztamtąd ogromną chmurę dymu wzbijającą się po nad wulkan, ciemno zabarwioną wyrzuconym jednocześnie popiołem. Plinjusz starszy próbował z kilkoma okrętami przybyć na pomoc zagrożonej okolicy u stóp Wezuwiusza leżącej. Gdy się zbliżał do lądu, wulkan wyrzucał popioły coraz gorętsze i gęstsze połączone z drobnemi a częścią i wielkiemi kamieniami, aż nakoniec płytkość morza które od brzegów odstąpiło, przeszkadziła mu wylądować. Przy pomocy północno-zachodniego wiatru, udał się więc do Stabji. Deszcz popiołów i kamieni trwał ciągle z coraz wzrastającą potęgą, kilka wielkich strumieni lawy zaczęło płynąć z szczytu góry. Ażeby niebyć zasypanym, Plinjusz musiał się zdecydować na opuszczenie swego domu w Stabji. Przywiązywano sobie wielkie poduszki na głowę, ażeby się ochronić od spadających rozpalonych popiołów i kamieni.

Następnego dnia rano siła wybuchu wzrastająca ciągle doszła do takiej potęgi, że nastąpiła straszna eksplozja i wylew lawy, który zalał Herkulanum. Wybuch ten zmusił Plinjusza i jego towarzyszy do ucieczki, w czasie której starzec ten osłabiony i nie mogący oddychać powietrzem przepełnionem gazami i dymem, padł bez życia rażony apopleksją. Nazajutrz dopiero po przejściu wybuchu, znaleziono jego zwłoki.

To są szczegóły z pierwszego listu, drugi opisuje co się działo w Misenum.

Wstrząśnienia ziemi przez kilk dni się powtarzające, poprzedziły wybuch. Były one tak silne, że 25 Sierpnia rano Plinjusz i jego matka, widzieli się zmuszonemi do opuszczenia miasta. Ziemia usunęła się tu i owdzie, morze odstąpiło od brzegów, w oddali widać było czarną chmurę przerzynaną błyskawicami. Chmura ta zbliżała się szybko i pogrążała okolicę w ciemności. Popiół się sypał i ażeby nie być zaduszonym, trzeba było od czasu do czasu wstawać i otrzepywać go z siebie. Głęboka ciemność panowała do koła, ciemność w czasie której rozpacz kobiet, jęk dzieci, odgłosy przerażenia mężczyzn odzywały się do koła. Jedni szukali rodziców, inni dzieci, mąż żony, żona męża. Jedni boleli nad swym własnym losem, drudzy nad niebezpieczeństwem tych, co im byli najdrożsi. Sama obawa śmierci zabijała wielu. Niektórzy wyciągali ręce do bogów, massy i w bogów nie wierzyły, przekonane, że pomrok wiekuisty rozpościera się nad światem. Rozjaśniło się cokolwiek, a to zdało się zapowiedzią zbliżającego się ognia. Ogień jednak pozostał zdaleka, nowa ciemność zaległa, zaczął się znowu deszcz popiołów. Nareszcie przyszedł znów dzień lecz ponury i posępny, jakby słońce zaćmione było. Cała okolica okazała się zmienioną i grubą warstwą popiołów jak śniegiem pokrytą.

Opis ten daje pojęce rozpaczy i przerażenia, jakie panować musiały w miastach bezpośrednio u stóp Wezuwiusza leżących. Herkulanum zalanem zostało lawą połączoną z okropnym wulkanicznym

deszczem; Pompeja zaś w ciągu dni 24-go Sierpnia i 25-go do południa lub do wieczora, pokrytą została na wysokość 20 stóp przeciętnie, nieustannym deszczem popiołów i kamieni.

Jeden z późniejszych pisarzy podaje, że przy początku wybuchu lud był zgromadzonym w amfiteatrze; wiadomość ta jednakże nie zasługuje na wiarę.

Liczba ludzi którzy zginęli w tej katastrofie była bardzo wielka. Dotychczas znalezionych szkieletów liczą 400 do 600, a w tym stosunku ogólna liczba zasypanych 1200 do 1500 wynosić mogła. Największa część z nich znalazła śmierć przez zaduszenie, nie mogący bowiem uciekać lub nie przewidujący okropnego końca wybuchu ukrywali się w domach ażeby się uchronić przed kamiennym deszczem. Ci którzy zdołali uniknąć śmierci, w znacznej części osiedli w pobliżu dawnego swojego miasta w nowej miejscowości, którą także potem zasypał wybuch wulkanu, a tym sposobem imię Pompei na długie wieki zupełnie zapomnianem zostało.

Wołody Skiba

NA GORĄCYM UCZYNKU.

Kartka z kroniki kryminalnej.

(Ciąg dalszy.—patrz N. 17-ty).

Opędzki zaczął się zastanawiać czegoby użyć do pisania. W kilka chwil pomysł mu przyszedł.

Oderwał sobie od ubrania guzik ołowiany, który był *à la rigneuz* niepotrzebny, złamał go i spróbował czy się da pisać ostrym kantem.

Zaimprowizowany ołówek pisał wybornie.

To co jako próbę napisał, było datą jego aresztowania. Pod tem umieścił dwa wyrazy: „*Dziwna awantura!*"

Następnie wrócił do owego napisu, w którym dwa wyrazy niewłaściwie umieszczone wymazał i na miejscu honoru wpisał wolność, a na miejscu wolności — honor.

Byłaż to obłuda czy wyraz głębokiego przekonania?... Ale jeżeli obłuda to dla kogo i przed kim?... Mało jest ludzi obłudnych przed samemi sobą; ten człowiek znany z lekkiego życia, silnie poszlakowany o zbrodnią mordu popełnionego dla kradzieży, odmawiający sprawiedliwości odpowiedzi kategorycznych na pytania najprostsze i najnaturalniejsze: gdzie czas przepędził i zkąd miał pieniądze, stawiałże by w istocie utratę honoru wyżej nad utratę wolności?..... byłżeby rzeczywiście niewinnym?.....

Jeżeli co przypuszczać tak kazało, to to najbardziej, że ile razy oko dozorcy więziennego zajrzało przez szybkę do jego celi, nigdy nie zastawało go siedzącym w zamyśleniu, coby pozwalało przypuszczać, że obmyślał środki obrony.

Wkrótce po odczytaniu wszystkich napisów powołano go do tego badania, które opisaliśmy wyżej.

Po jego ukończeniu powrócił do celi wzruszony. Gdy go zamknięto chodził wielkiemi krokami i gadał półgłosem sam z sobą. Zarzut jakim go obarczono w policji widocznie nie obchodził go wcale, zobaczywszy jednak że i sąd ten zarzut również bierze na serjo, przejął się tem widać do głębi i nie mógł opanować wzburzenia.

— Co do tego mają pieniądze? — prawił przerywając sobie co chwila,—gdziem był wieczorem?... otóż właśnie!.... złoto nie złoto, wszystko to nie wkłada na mnie obowiązku, żebym się rachował z tego co mam i zkąd mam... to mi się podoba!... że miał dukata w kieszonce od kamizelki, ztąd wynika żem ja go zabił.... oryginalna logika!....

Był rozgniewanym, rozdrażnionym widocznie. Czy go zarzut bolał, czy poszlaki przerażały, dość że uspokoić się nie mógł i myśli swoich uporządkować.

Czy to zmięszanie dowodziło niewinności czy winy?.... Naszem zdaniem, nie dowodziło ani jednego ani drugiego. Najniewinniejszego można zbić z tropu i przerażać wyprowadzaniem z jego słów lub też z okoliczności które go dotyczą, wniosków naciąganych i subtelnych, tak samo jak zbrodniarza mięsza i przeraża to co łamie szyki jego obrony.

Nie zostało mu nawet dosyć czasu na uspokojenie się i przyjścia do siebie. Wkrótce zawezwano go znowu.

Tym razem miano na celu skonfrontowanie go z ciałem zabitego.

Przyprowadzony przed trupa, dowiedział się dopiero po co go wzywano.

Kiedy mu pokazano zwłoki nieboszczyka, wszystkie oczy były w niego wlepione, a pod magnetycznym wpływem tych spojrzeń rozdrażnienie z którego dotąd nie ochłonął, powiększyło się jeszcze i wzmogło.

— Poznajesz pan tego człowieka? — rzekł doń jeden z urzędników.

Opędzki zbliżył się, spojrzał w twarz, cofnął się nagle o krok jeden, poniósł rękę do czoła i zaczął je pocierać.

— Poznajesz go pan?—powtórzono zapytanie.

Aresztowany spojrzał znowu, tym razem panując już nad wzruszeniem jakiego doznał poprzednio. Nie odpowiadał jednakże i musiano pytanie powtórzyć raz jeszcze.

— Cokolwiek powiem — rzekł z goryczą,—panowie z tego zrobicie poszlakę przeciw mnie, wolę więc nic nie mówić.

Na te słowa jeden z urzędników zrobił uwagę półgłosem:

— To nie jest odpowiedź człowieka, który się nie poczuwa do winy.

— Za pozwoleniem pana — odparł na to Opędzki, — nie stoję jeszcze przed sądem, który ma wyrokować o mnie, sądzę więc że nie do pana należy orzekać czym winien czy niewinny.

Mówił to z gniewem, który tryskał błyskawicami z jego oczu.

Urażony tą zuchwałą odpowiedzią urzędnik, chciał coś powiedzieć, ale assesor który już poprzednio indagował aresztowanego, powstrzymał go giestem i rzekł:

— Źle, że się pan unosisz, panie Opędzki. Nie idzie tu o tworzenie nowych poszlak, lecz o rozjaśnienie dawniejszych i istniejących. Mów pan stanowczo i otwarcie prawdę całą i zupełną, bo z takiej tylko niemylne wnioski wypłynąć mogą. Odmawiając wyjaśnień, nie masz pan prawa się skarżyć nawet gdyby to mylnie rozumiano. Czy pan poznajesz zabitego?....

Opędzki po chwilowym namyśle odpowiedział:

— Jeżeli się nie mylę, widziałem tego człowieka raz jeden. Nie wiem jednakże kto jest i jak się nazywa.

— Kiedyś go pan widział?

— Wczoraj.

— Gdzie?....

— Tam gdzie sam wieczór przepędziłem.

— A gdzieżeś pan wieczór przepędził?....

— Powiedziałem już dwukrotnie, że tego powiedzieć nie mogę.

Urzędnicy spojrzeli po sobie.

— Gubisz się pan, — rzekł jeden z nich.

— Może, ale nie powiem.

— Jakiż tego powód?....

Zamyślenie poszlakowanego było tym razem jeszcze dłuższe niż poprzednio. Pozwolono mu zastanowić się i nie nalegano powtarzaniem pytań. Na twarzy jego widoczną była jakaś walka wewnętrzna. Już zdawało się otwierał usta żeby zrobić zeznanie, gdy nagle zaciskał je na nowo i pozostawał milczący.

Po jakimś czasie zdecydował się nareszcie na jedno.

— Jestem człowiek niewinny— odpowiedział,— wiem że ci którzy mnie sądzić będą, postarają się dokładnie zbadać sprawę i nie wyrzekną wyroku dopóki dokładnego nie nabiorą przekonania, dla tego najmocniej przekonany, że bezwzględu na gromadzące się poszlaki nie mogę być potępionym niezasłużenie, nie mogę robić zeznań, któreby mi na całą przyszłość moją zaszkodzić mogły, a na uniewinnienie moje nie mają żadnego wpływu.

— Nic więc pan nam więcej co do tej okoliczności powiedzieć, nie chcesz?...

— Mogę tylko zaręczyć, że z tego cobym mógł powiedzieć, nie wypadło by nic ani na moją obronę, ani na moje potępienie.

— Daj Boże żebyś pan nie pożałował swego uporu.

— Jest jeszcze wątpliwem czy milczenia mojego żałować będę, tego zaś jestem pewny: że gdybym nie milczał, musiałbym tego żałować gdy uwolnionym zostanę.

Raz jeszcze odmowę Opędzkiego zapisano do protokółu, po czem znowu odprowadzono go do celi.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

ESKIMOSY.

Eskimosy czyli ludzie *jedzący surową rybę*, zamieszkują podbiegunową część Ameryki Północnej, w której dla wielkiego zimna żaden Europejczyk długo mieszkaćby nie mógł. Jakkolwiek dzielą się oni na wiele plemion, w ogóle jednak wszyscy odznaczają się niskim wzrostem, niekształtnem ciałem i odrębnym językiem. Uczeni nowocześni powszechnie się zgadzają, że Eskimosy pochodzą z rassy czerwonej to jest amerykańskiej, którą wpływy klimatyczne i towarzyskie wyrodziły.

Eskimosy, jakieśmy powiedzieli należą do najszpetniejszych ludzi. Głowę mają zaokrągloną niezmiernej wielkości, twarz szeroką, płaską, z policzkami mięsistemi a kością policzkową mocno wystającą, nos mały, mocno spłaszczony, włosy czarne, twarde i sztywne, ciało miękkie i obwisłe. Zresztą, ręce i nogi cienkie jak patyczki, wcale nie dodają im wdzięków. Żółto-czarniawa ich skóra w dotknięciu chłodna, zawsze jest pokryta grubą warstwą tłustości wielorybiej. Wzrost rzadko kiedy przewyższa pięć stóp.

Pomimo jednak tej szpetoty, dzięki dobroduszności i życzliwości malującej się na ich twarzach, na Europejczyku dość przyjemne czynią wrażenie.

Jedynem ich zatrudnieniem jest połów fok, psów morskich, oraz ryb wszelkiego rodzaju. W czasie krótkich letnich miesięcy w krajach podbiegunowych, przenoszą się z całem swem obozowiskiem na północ—za nadejściem zimy, wracają na południe. Pod względem oświaty stoją na najniższym szczeblu cywilizacji, żyją pomiędzy sobą w zupełnej równości, rządu żadnego nie uznają; zresztą, przeważa tu prawo mocniejszego. Eskimosy z Grenlandji i Labradoru przyjęli przynajmniej powierzchownie religją chrześcijańską, inni w głębokiem są pogrążeni bałwochwalstwie.

W stosunkach pomiędzy sobą, Eskimosy wielką odznaczają się uczciwością; nie tak już są skrupulatni względem Europejczyków, którzy podług ich wyobrażeń posiadają wszystko w obfitości, a więc mają poddostatkiem żelaza, drzewa, szkła, noży i t. d. To też gdy się spotkają z białymi, pierwszem ich słowem jest zawsze: *dajcie! dajcie!* gdy zaś nic nie dostaną, wówczas często gęsto wykraczają przeciw siódmemu przykazaniu. Za to względem swoich współbraci zachowują się tak wspaniałomyślnie, że każdemu narodowi ucywilizowanemu mogliby służyć za przykład. Gdy jedna rodzina ma żywność, sąsiedzi głodu się nie obawiają. Kłamca jest powszechnie pogardzany.

Małżeństwa zawieraję się tu dla interesu, nigdy prawie dla uczuć. Zaręczyny miewają miejsce zwykle w bardzo młodym wieku, najczęściej bez wiedzy zaręczonych. Obrzędów ślubnych i weselnych wcale nie ma: narzeczeni uważają się już za prawych małżonków. Czasem biorą się żony na czas pewien dla wyprobowania charakteru i skłonności, po czem wolno jest pannę młodą odesłać do domu rodziców.

Dziecku nowonarodzonemu wkładają na głowę skórzaną czapeczkę, której przez rok cały nie zdejmują. Niemowląt nie odstawiają od piersi przez trzy a nawet cztery lata.

Zamożne kobiety tatuują się na czole, twarzy i podbródku. Tatuowanie to odbywa się w sposób bardzo prosty: poczerniony kawałek żyły renifera wprowadza się pod skórę za pomocą igiełki, przez co na skórze pozostają na zawsze rozmaite rysy.

W życiu towarzyskiem, Eskimosy są bardzo prości, dziecinni nawet; bawią się jak dzieci kawałkami szpagatu lub figurkami z kości wyrzezanemi. Obyczaje ich także bardzo łagodne, a morderstwa rzadko się przytrafiają.

Ci którzy nie przyjęli religji chrześcijańskiej, wierzą w istotę najwyższą (Anguta), oraz w bóstwo drugorzędne płci żeńskiej zwane *Sid-ne*, któremu wielką cześć oddają. Wierzą w życie przyszłe, w niebo i piekło. To ostatnie wielce się różni od naszego, bo tam zimno okropne, a śnieg nigdy padać nie przestaje; w niebie za to światłość wiekuista, a wszyscy wybrańcy li tylko śpiewem i ulubionemi zabawami są zajęci.

Wielkiej u nich wziętości używają znachorowie czyli czarodzieje, którzy leczą chorych, błogosławią rybołóstwu, zaklinają burze, wstrzymują śniegi, topią lody i t. d. Ludzie ci w szkaradny sposób wyzyskują łatwowiernych Eskimosów, którzy bez ich udziału do żadnego przedsięwzięcia przystąpić nie mają odwagi. Biada jednak tym czarodziejom, jeżeli ich oszustwo na jaw wyjdzie!

Pożywienie Eskimosów jest prawie wyłącznie mięsne; jedzą oni wszystkie części ciała zwierzęcego: mięso, tłustość, krew, wnętrzności i to w sta-

nie surowym. Głównem ich pożywieniem jest pies morski, który tem jest dla Eskimosa, czem chleb dla nas. Niedźwiedź, renifer, mors i wieloryb, są także ważnemi jako jadło i materjał na odzież. Psów używają do zaprzęgu, tak jak u nas koni.

Eskimos nie lubi pamiętać o jutrze, a ztąd często głodu doświadcza. W pewnych bowiem porach roku pojawia się tu tyle psów morskich i innej zwierzyny, że bez trudu możnaby nią zaopatrzyć się na cały rok; ale Eskimos nie myśli o tem i w ciągu jednego roku marnuje to, coby mogło wystarczyć na dwa lata.

Psy morskie należą do najlękliwszych, a zarazem najzmyślniejszych stworzeń. Najbieglejszy strzelec europejski nie da z niemi sobie rady i pod tym względem ustępuje o wiele Eskimosowi, który nieustanną walkę z tem zwierzęciem toczy. W zimie gdy pies morski żyje pod lodem, zabicie jego wymaga wielkiej zręczności i cierpliwości. Robi on sobie w lodzie otwór, ku któremu podpływa od czasu do czasu dla oddychania—otwór taki pokryty jest grubym pokładem śniegu. Za pomocą swego psa, Eskimos odkrywa go i zrobiwszy w śniegu dziurę dzidą, zasiada czekając aż usłyszy chrapanie; natenczas uderza dzidą i gdy mu się powiedzie, ma nie tylko żywność ale paliwo i oświetlenie. Czasem całą dobę a nawet dłużej, siedzieć potrzeba na czatach.

Z polowaniem i rybołóstwem połączone są szczególniejsze praktyki. I tak, dopóty nie można polować na morsy, dopóki się nie popracowało nad odzieżą ze skór renifera; przeciwnie, rozpocząwszy polowanie, odzieży tej robić nie wolno. Kto zabije morsa, powinien przez cały dzień siedzieć w domu nic nie robiąc: to osamotnienie trwa dwa dni po złowieniu wieloryba, a trzy po zabiciu niedźwiedzia. Jeżeli jednak wielka jest obfitość zwierzyny, można kontynuować polowanie z tym wszakże warunkiem, by po ukończeniu onegoż, odsiedzieć odpowiednią ilość dni. Kobietom nie wolno jeść pierwszej foki na wiosnę zabitej, ani nawet wyżymać z niej tranu.

W zimie Eskimosy noszą na nogach długie pończochy z futra reniferów włosem na zewnątrz zwróconego, nogawki ze skóry gęsi edredenowej z puchem na obie strony, takież nogawki z futra psa morskiego włosem na wierzch, buty ze skóry reniferowej z podeszwami psa morskiego. Kaftan ze skóry renifera przylega do ciała, a u kobiet nie jest on rozcięty ani z przodu ani z tyłu, lecz wdziewa się przez głowę i opatrzony jest kapturem, w którym noszą się rozmaite ruchomości a nawet dzieci. Spodnie dochodzą niżej kolan, a w pasie przywiązują się sznurem. Kobiety zwykle noszą jednę futrzaną rękawiczkę na prawej ręce, lewą zaś wsuwają w zarękawek. W ogóle w ubiorach kobiecych, jakkolwiek te nie wiele się od mezkich różnią, daje się dostrzegać pewna elegancja; kaftany są bardzo starannie ponaszywane, a czasem na szyi spostrzedz można kilka rzędów pereł. Pewien podróżnik widział elegantkę eskimoskę, która z przodu poprzyczepiała sobie do ubrania talerzyki, łyżki stołowe i kawiane z cyny angielskiej, z tyłu wlókł się długi ogon przyozdobiony szlakiem z kul ołowianych, kilka parami monet amerykańskich i sporym dzwonem starego zegara.

Mieszkania Eskimosów są zastosowane do ich życia koczowniczego. Latem mieszkają oni w namiotach ze skór—w zimie w budach śniegowych, które budować nauczyli się prawdopodobnie od psów morskich. Budy te stawią zwykle w połowie Listopada, gdy śnieg leży wysoko i twardnieje. Nożem lub piłą krają bryły śniegowe około trzech stóp długie, ośmnaście cali szerokie a sześć grube i ustawiają je wązkim brzegiem w okrąg, mający w średnicy około siedmnastu stóp. Na ten pierwszy rząd ustawia się drugi, potem trzeci i t. d., dopóki okrąg stopniowo zwężając się nie utworzy sklepienia. Tym sposobem powstaje rodzaj kopuły, wysokiej w środku na siedm stóp. Do takiej budy prowadzi z boku kryty śniegowy korytarz, na kilka łokci długi i trzy stopy wysoki. Trzech do czterech Eskimosów umiarkowanie pracując, wznosi taką budowę w ciągu dwóch godzin, a gdy potrzeba to i w godzinę.

Eskimosy mają język sobie tylko właściwy, pisma wcale nie znają. Każde prawie plemię jedne i te same wyrazy odmiennie wymawia, tak, że tylko z wielką trudnością mogą się z sobą rozmówić. W nauce są tępi i zaledwie nauczyć się mogą liczyć do dwudziestu; przy liczeniu większych ilości posiłkują się palcami. Niepodobna im jednak odmówić zdrowego rozsądku i daru spostrzegawczego. Znają oni wybornie swoje wody i wybrzeża, a w potrzebie umieją skreślić ich wizerunek dość dokładny na papierze.

Psy w gospodarstwie Eskimosów grają bardzo ważną rolę. Nie tylko ciągną sanie, ale oprócz tego na polowaniach są przewodnikami swych panów. To też pies dobrze ułożony do polowania, prawdziwym tu jest skarbem. Do sanek zaprzęgają ich zwykle do dwudziestu, a lubo dobrze się z nimi obchodzą, jeść jednak dają im bardzo oszczędnie, nadewszystko w podróży. *Mścisław Kamiński.*

ROZMAITOŚCI.

— **Mechaniczny człowiek.** Mechanik Deddrik w Nowym-Yorku, wynalazł mechanicznego człowieka poruszającego się za pomocą pary. Automat ten stoi na nogach, chodzi i biega w jakim chcąc kierunku i z jaką chcąc niemal prędkością unosząc ciężar, który zaledwie mogłyby udźwignąć trzy silne konie. Wysoki na 6 stóp i 9 cali, wszystkie części ciała ma proporcjonalne do wzrostu. Robotnicy przezwali go Danielem Lambertem (znany olbrzym). Waży on 500 funtów. Para wytwarza się wewnątrz ciała. Nogi jego z zadziwiającą zrobione są dokładnością. Gdy się ciało przechyli na jednę nogę, oddzielna sprężyna podnosi drugą nogę i porusza ją naprzód. Każdy krok popycha automata na dwie stopy, a za każdym obrotem machiny robi on cztery kroki; że zaś machina na minutę daje tysiąc obrotów, więc przeostrzeń którą w tym przeciągu czasu przebiedz może automat, wynosiłaby więcej niż 1 $^1/_2$ wiorsty —że jednak prędkość takowa na nierównej lub kamienistej drodze przedstawia pewne niebezpieczeństwa, pospolicie więc nastawiają mechanizm w ten sposób, że automat przebiega w minutę tylko połowę tej przestrzeni, co i tak nie małą już jest rzeczą. Automat przywiązany jest do wozu, którego hołoble utrzymują go w pionowem położeniu. Hołoble te składające się z dwóch żelaznych sztab, są zgięte i przymocowane do okrągłego chomonta, który się wdziewa na automata nakształt pasa. Automat ten tak jest urządzony, że z łatwością może przebiegać powierzchnię pochyłą, a to zarówno w górę jak na dół. Podeszwy jego opatrzone są ciężarem, który nie dozwala się mu ślizgać. Zresztą cała machina tak dobrze jest podtrzymywana przez hołoble, że dwóch ludzi może wybornie nią kierować po zwyczajnej drodze.

Nader dowcipny mechanizm pozwala dawać automatowi jaki chcąc kierunek. Do wozu można zabrać z sobą dostateczny zapas węgla na cały dzień i wody na pół dnia. Ażeby zaś ten olbrzym nie straszył koni, pan Deddrik zamierza go ubrać i uczynić o ile można podobnym do innych ludzi. Jeżeli powyższa wiadomość nie jest bajeczką, dziwić się należy dla czego wynalazca machinie mającej zastępować zwierzęta juczne, dał podobieństwo człowieka. Pomysł ten jest i upokarzający i co najmniej nie dowcipny: człowiek stworzony jest do wyższych nieco celów, niż do dźwigania ciężarów i naśladowania bydląt.

— **Kalosze gutaperkowe** w razie pęknięcia, przedziurawienia lub podobnego uszkodzenia, bywały dotąd a nawet są jeszcze zwykle wyrzucane na śmiecie, jako na nic już nieprzydatne, z powodu jakoby niemożności naprawienia, co i rzeczywiście było prawdą kiedyś, bo podejmujący się tej naprawy tak ją dokonywali, że nieraz tego samego dnia a niezawodnie najdalej trzeciego, naprawiony kalosz stawał się gorszym aniżeli był przed naprawką. Nic więc dziwnego, że nikt niechciał wydawać na darmo pieniędzy na taką naprawę i wyrzucał kalosze do śmietnika. Obecnie atoli już nie potrzebujemy ponosić tej straty i narażać się na tak często się powtarzający wydatek reperacji, tego zagranicznego wyrobu. Sposób naprawiania takich kaloszy, dokładnie a zatem pożytecznie znany już jest nareszcie i w Warszawie, ale o ile nam wiadomo tą naprawą zajmuje się dopiero jeden tylko tego nowego rzemiosła majster; jest zaś nim p. Apelewaj, zamieszkały w domu pod Nr. 797 położonym, na rogu ulicy Elektoralnej i Przechodniej, gdzie kupiec korzenny J. Roesler. Za trwałość owej naprawy, możemy poręczyć własnem doświadczeniem. Należy tylko nie naglić w pośpiechu wykonania tej roboty, gdyż ona wymaga najprzód dokładnego wysuszenia kaloszy, oczyszczenia jak najtroskliwszego miejsca mającego być naprawionem, a następnie zupełnego wyschnięcia a raczej stężenia miazgi, jaką uszkodzenie zapełnione zostało; — od tego ostatniego, zdaje się, że nie mało zależy.



Eskimos (do str. 142-ej.)

Myśmy starali się tak naprawione kalosze wytrzymać bez użycia dziesięć dni i już cztery miesiące mamy dowód skuteczności owej naprawy, kiedy znajoma nam osoba zaraz tego samego dnia po odebraniu używszy swoje kalosze, w ciągu trzech dni zniszczyła je i skutkiem tego zaprzysięgła się nie dawać już nigdy kaloszy do naprawy i każdego od daremnej naprawy odwodzić z całą gorliwością, na jaką ją tylko stać będzie.

— **Szkoła rysunku i malarstwa dla panien**, założoną została przez panią Marję hr. Łubieńską, pod przewodnictwem malarzy tutejszych p. p. Juljusza Kossaka i Edwarda Pawłowicza. O szkole tej między innemi pisze *Kurjer Codzienny*:

Przy zachowaniu wszystkich warunków gruntownej nauki, wykład udzielany jest od pierwszych początków rysunku, do zupełnego wykształcenia tak w tymże rysunku jako i w malarstwie. Do kategorji pierwszej należą: kontury, cienie głów, figury, krajobrazy, zwierzęta i kwiaty; do malarstwa zaś liczą się: akwarelle i roboty olejne.

Celem tych zbiorowych lekcji jest obudzenie zamiłowania artystycznego, podanie sposobności wszystkim zdolnociom do należytego rozwoju tychże, a obok tego wykształcenie artystyczne, tak, ażeby pomieniona nauka mogła być zużytkowaną przez uczące się, na własną później ich korzyść.

Nie potrzebujemy tu wcale wykazywać korzyści, jakie z tego wykształcenia mogłaby odnieść płeć piękna, i jak wielkie otworzyłaby sobie środki do praktyki i szlachetnego zarobku.

Sama znajomość ornamentacyjnego rysunku, tak niezbędnego począwszy od rzemiosł aż do sztuki, już byłaby należycie ocenioną przez przemysłowców, a pracowniczki tego działu byłyby równie przez nich pożądane jak i poszukiwane.

Wykłady udzielane są obecnie trzy razy w tygodniu, to jest: we Wtorki, w Czwartki i w Soboty od 11 do 1 z południa, w mieszkaniu pani Łubieńskiej i pod jej wyłącznem okiem, w domu N. 1674 przy Alei Ujazdowskiej, idąc od placu Trzech Krzyży po prawej stronie.

Na lekcje przyjmowane są panny i dziewczynki w każdym czasie i w każdym stopniu wykształcenia.

Co do opłaty, ta za naukę rysunku wynosi rs. 4, a za naukę malarstwa rs. 5 z góry miesięcznie. (Podług nas jest to trochę za drogo za 12 lekcij wspólnych miesięcznie. P. R.)

Zdaje się myśl tej szkoły dobrze zostanie przyjętą przez ogół, i że wiele rodziców i opiekunów zechcą z tego korzystać, dając swym córkom najpiękniejszy skarb — bo sposobność do zabezpieczenia w sobie przyszłości bytu.

KORRESPONDENCJE OD REDAKCJI
Opiekuna Domowego.

— *Panu T. Modz... w Paciorowie.* List pański przesłaliśmy w oryginale do księgarni Dzwonkowskiego przy ulicy Miodowej Nr. 482.

— *Pani W. z Wspólnej ulicy.* O dostarczenie żądanych numerów Opiekuna Domowego z roku 1866, jako pochodzących z epoki wydawnictwa tego pisma przez Jana Jaworskiego (ulica Krakowskie-Przedmieście Nr. 415), tamże udać się wypada.

— *Panu F. R. prenumeratorowi z Leszna.* Komplet Opiekuna Domowego z r. z. od włącznie N-ru 8-go w którym zaczyna się powieść „Dziwni ludzie" przez Wołodego Skibę, do włącznie Nr. 53-go czyli do końca roku, otrzymać pan możesz w Redakcji za opłatą rubla sr. jednego.

— *Pannie Walerji K.* Serdecznie dziękujemy za słowa uznania. Wierszyk „Do sióstr moich" pełen najzacniejszych myśli, ale znać w nim jeszcze niewyrobioną formę, dla tego też jak i dla innych niezależnych od nas okoliczności, w Opiekunie drukowanym być nie może. — Szczerze prosimy o co innego.

w Drukarni J. Jaworskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj. — Redaktor, Adam Mieczyński.